

Warszawskie Spotkania Teatralne

Wrocławska „Anna Livia”

WOJCIECH NATANSON

Maciej Słomczyński jest entuzjastą, przenikliwym i kompetentnym znawcą, wytrwałym tłumaczem Joyce'a. Pracy tej poświęcił wiele lat swego życia. Przekładał nie tylko prozę, ale i — lekceważone na ogół — poezje tego twórcy. Tłumaczył także i utwory, które uchodzą za nieprzetłumaczalne. On się w dużej mierze do tego przyczynił, że irlandzki nowator, znany od dziesiątków lat szczupłej jedynie garstce w naszym kraju, jest już dziś upowszechniony i łatwiej dostępny, niż, na przykład, Tytus Czyżewski.

W komentarzu, który zamieścił program wrocławskiego Teatru Współczesnego, pisze Słomczyński o Annie Livii z Joyceowskiej książki „Tinnegans Wake”, że jest to symbol kobiecości jako siły odradzającej świat, żywiołu triumfalnego i zwycięskiego. Kobieta nie tylko rodzi, żywi, ochrania i wychowuje dziecko — ale i powołuje do istnienia samą miłość, budzi i akceptuje pragnienia. Jest (wolno tu może dorzucić obraz?) jakby płomiennym, który sam siebie rozpala. Wobec niej rola mężczyzny wydaje się błada, wtórna i ba, niemal bierna. Hymnem na cześć kobiecości jest dramatyczny utwór „Anna Livia” napisany przez Słomczyńskiego na podstawie dzieł Joyce'a.

Można by powiedzieć, że nie ma w tej apologii nic naprawdę nowego. Nie sięgając już nawet do romantyków — przecież Przybyszewski pisał podobnie w swoich dramatach, a nade wszystko w utworach z okresu młodości przeżytej w Berlinie. Czy można też mówić o materiale scenicznym, zdążającym w kierunku eksperymentu? Sięgnął przecież po „Annę Livię” inscenizator o nowatorskich tendencjach, obecnie dyrektor wrocławskiego Teatru Współczesnego. Kazimierz

Braun. Stałe podobnych pozycji bronil. W najlepszej swej książ-

ce — o Norwidzie — wykazał, nie bez racji, że twórca „Zakulisami” może być uznany za prekursora teatralnego. W licznych podróżach zwracał Braun uwagę na nowoczesne rozstrzygnięcia teatru dzisiejszej Grecji. W książce o „przełomie” lat sześćdziesiątych pomijał wprawdzie Kantora, Szajnę i Grzegorzewskiego, ale szczególnie o mawiał dążenie Grotowskiego i zagranicznych „teatrów otwartych”. Gdy wystawiał „Akt przerywany” Różewicza, cofnął się, co prawda, do zrecznej, ale nienowej konwencji „teatru w teatrze”, ściślej: spektaklu, powstającego podczas próby. Nieudane mi się wydało Braunowskie „Wyzwolenie”.

Frapująca jest we wrocławskiej „Annie Livii” scenografia Zofii de Ines-Lewczuk. Operuje niespokojną grą płaszczyzn, szybką zmianą poziomów akcji, kontrastami barw (głównie czerni i bieli). Mniej mnie interesowały efekty akustyczne, szumy i pogłosy zawarte w muzyce Zbigniewa Karneckiego, piosenki, „przerzyniki” widowiska bulwarowego, niemal operetkowego, nagości i strip-teasy, nieraz piękne.

A także: frazy i antyfrazy, dialog przetykany niezrozumiałymi kwestiami, które tłumaczą partnerzy i partnerki, stający się interpretatorami. Także i dyskusje na marginesie lektur szekspirowskich. Balety i pantomimy (wizualnie ciekawe) z fraszkami, które może zmywają nieczystości świata...

Od aktorów żąda ten spektakl znacznego wysiłku. Trudno nie wyrazić uznania wygimnastykowanym i sprawnym: Pawłowi Nowiszowi (Shaun), Zbigniewowi Górskiemu (Shem), Marlenie Milwiw i Barbarze Sokołowskiej (Praczi), Januszowi Obidowiczowi (Ojciec), reszcie zespołu. Warunki techniczne warszawskiego Teatru Dramatycznego są tak różne od kameralnej sceny wrocławskiej, że na tym musiała ulecierać słyszalność. Głosy męskie były jednak wyraźniejsze i bardziej intensywne niż kobiece. Z jednym, oczywiście, wyjątkiem. Mam na myśli odtwórczynię roli tytułowej, pełną inwencji Teresę Sawicką, która szczególnie w scenie „małżeńskiej” wykazała werwę, dowcipo i swobodę, a w „kantacie” miłosnej, poprzedzającej finał, mówiła frazy tekstu z narastającym żarem, we wzmagającym się rytmie, punktując je słówkiem „tak”, o podwójnym znaczeniu poetyckim: wzmacniającym żar emocji, ale i wyrażającym zgodę na marzenia ukochanego.

Inna rzecz, czy spektakl ten powinien być się znaleźć w repertuarze tegorocznych spotkań. Może należało go pokazać w innych, korzystniejszych dlań warunkach akustycznych? Przy innej okazji? W innej sali? Spotkania mogły chyba u względnąć sprawy, utwory i spektakle niesłusznie pozostawione poza zasięgiem widzów warszawskich. Mam na myśli — wymieniłbym przykładowo — „Ślub” w realizacji Grzegorzewskiego, któryś ze spektakli Fredrowskich (a są takie w rocznicowym momencie, proszę mi wierzyc!), „Wyzwolenie” katowickie (mimo wszelkich zastrzeżeń), „Lato w Nohant”, „Achilles”, „Dwa teatry”, „Turonie”, czy „Szwejka” z Łodzi (to właśnie miasto, dzięki różnorodności świetnych poczynań, staje się źródłem naszych nadziei). Ale od dawna zadaje sobie pytanie, jakie kryteria decydują o wyborze przedstawień prezentowanych na warszawskich spotkaniach? Gołym okiem ich nie widać. Rodzaj rebusu! Może to zadanie dla miłośników krzyżówek?